

FREDERICK  
FORSYTH  
WETERAN



## *Dzień pierwszy — wtorek*

Wszystko widział właściciel niewielkiego sklepu spożywczego na rogu. Tak w każdym razie twierdził.

Był w sklepie, ale stał blisko okna, bo przekładał artykuły na wystawie, żeby lepiej wyglądały. Przechodzień był sam. Sklepikarz zwrócił na niego uwagę tylko dlatego, że mężczyzna kulał. Później sklepikarz zeznał, że poza kulawym człowiekiem na ulicy nikogo nie było.

Tego dnia niebo pokrywały szare chmury, ale mimo to zrobiło się gorąco i parno. Paradise Way wbrew swej nazwie była równie ponura i nędzna jak zawsze — komercyjny deptak w sercu jednej z tych zasmarowanych przez grafficiarzy, biednych i przeżartych przestępczością dzielnic mieszkaniowych, które szpecą pejzaż między Leyton, Edmonton, Dalston i Tottenham.

Gdy trzydzieści lat temu zorganizowano wielką szopę z okazji otwarcia osiedla Meadowdene Grove, wychwalano je jako nowe rozwiązanie w dziedzinie taniego budownictwa mieszkaniowego dla ludzi pracy. Sama nazwa osiedla zdradzała, że to wszystko lipa. Nie była to ani łąka, ani dolina, a zagajników nikt tu nie widział od czasów średniowiecza. W rzeczywistości był to łagier złożony z

budynków z szarego betonu, zamówionych przez radę dzielnicy, która wywiesiła na ratuszu czerwoną flagę Międzynarodówki Komunistycznej, a zaprojektowanych przez architektów, którzy sami woleli mieszkać w wiejskich willach, wśród ogrodów pachnących kapryfolium.

Osiedle Meadowdene Grove upadło szybciej niż Tour de France zjeżdża z Pirenejów. W 1996 roku liczne alejki, podziemne przejścia i pasaże, łączące poszczególne bloki, były pokryte twardą skorupą brudu, śmierdzący moczem, a żywały tylko w nocy, gdy po okolicy kręciły się bandy wyrostków, bezrobotnych i nienadających się do żadnej pracy, w poszukiwaniu dealerów narkotyków.

Emerytowani robotnicy, dbający o swą godność i uparcie trzymający się zasad moralnych wpojonych im w młodości, dających pocieszające poczucie pewności i słuszności, żyli zabarykadowani za drzwiami swych mieszkań, w strachu przed wilczymi hordami na ulicach.

Między siedmiopiętrowymi blokami, z otwartymi rampami przed drzwiami, zakończonymi po obu stronach brudnymi klatkami schodowymi, kiedyś rosła zielona trawa, ale teraz było to zdeptane klepisko. Na wewnętrznych drogach, przecinających tereny rekreacyjne, połączone wąskimi pasażami z Paradise Way, stało sporo zardzewiałych, porzuconych samochodów, z których pozostały tylko skorupy nadwozia.

Przy głównej ulicy handlowej kiedyś było wiele sklepów, ale większość została zamknięta, ponieważ właściciele mieli już dość walki ze złodziejstwem, celowym niszczeniem towarów i pomieszczeń, wybijaniem okien, rasistowskimi ekscesami. Ponad połowa wystaw była zabita arkuszami sklejki lub zasłonięta stalowymi okiennicami, pokrytymi graffiti. Nieliczni sklepikarze, którzy jeszcze nie zrezygnowali, starali się zabezpieczyć wystawy gęstą siatką z drutu.

Na rogu ulicy uparcie trwał pan Veejay Patel. Miał dziesięć

lat, kiedy przyjechał tu z rodzicami z Ugandy, uciekając przed brutalnymi rządami Idi Amina. Wielka Brytania przyjęła ich, a on był wdzięczny i kochał swoją przybraną ojczyznę, postępował zgodnie z prawem, starał się być dobrym obywatelem i tylko nie mógł zrozumieć postępującej degeneracji społecznej, charakterystycznej dla lat dziewięćdziesiątych.

W — jak to nazywa londyńska policja — północno-wschodniej części miasta są dzielnice, gdzie obcy ludzie nie powinni się zapuszczać. Kulejący mężczyzna był obcy.

Dzieliło go zaledwie piętnaście jardów od rogu, gdy z wąskiego przejścia między sklepami wyszli dwaj mężczyźni i zastąpili mu drogę. Patel przerwał pracę i przyglądał się, co się stanie. Ci dwaj bardzo się różnili, ale wydawali się równie groźni. Jeden był mocno napakowany, miał ogoloną głowę i świńską głębę. Nawet z odległości trzydziestu jardów Patel dostrzegł błysk kolczyka w jego lewym uchu. Ubrany był w workowate džinsy i brudną koszulkę z krótkimi rękawami. Nad szerokim skórzanym pasem zwieszał się piwny brzuch. Stał na drodze nieznanego, który nie miał wyjścia, musiał się zatrzymać.

Drugi napastnik był szczuplejszy, nosił jasne spodnie z drelichu i szarą wiatrówkę zapinaną na suwak. Proste, tłuste włosy sięgały mu poniżej uszu. Stał za ofiarą i czekał.

Paker podniósł prawą pięść do twarzy napadniętego mężczyzny. Pan Patel dostrzegł błysk metalu. Nie słyszał, co tamten powiedział, ale widział, jak porusza ustami. Napadnięty musiał tylko oddać portfel, zegarek i inne cenne przedmioty, jakie być może miał przy sobie. To zapewne wystarczyłoby. Gdyby dopisało mu szczęście, napastnicy ulotniliby się z łupem, a on wyszedłby z tego bez szwanku.

To, co zrobił, było prawdopodobnie wynikiem zwykłej głupoty. Przeciwnicy mieli przewagę liczebną i fizyczną.

Sądząc po szpakowatych włosach, mężczyzna nie był już młody, a skoro kulał, to z pewnością nie był w pełni sprawny fizycznie. Mimo to podjął walkę.

Pan Patel zobaczył, jak napadnięty wymierzył temu grubemu błyskawiczny cios prawą pięścią, skręcając się przy tym w biodrach i ramionach, żeby zwiększyć siłę uderzenia. Trafił prosto w nos. Dotychczas cały incydent wyglądał jak przedstawienie mimiczne, ale teraz Patel usłyszał ryk bólu, choć stał w sklepie, za szybą wystawy.

Gruby zatoczył się do tyłu i uniósł obie ręce do twarzy. Patel ujrzał krew spływającą między palcami. Gdy zeznawał, musiał na chwilę przerwać, żeby jasno sobie przypomnieć, co stało się dalej. Długowłose najpierw uderzył starszego mężczyznę w nerki, a potem kopnął go od tyłu w kolano zdrowej nogi. To wystarczyło. Napadnięty przewrócił się na chodnik.

Na osiedlu Meadowdene Grove nosiło się dwa rodzaje butów: adidas — jeśli komuś zależało na szybkości, lub glany — gdy ktoś chciał mocno kopać. Obaj napastnicy mieli glany. Napadnięty skulił się, żeby ochronić organy wewnętrzne, ale nie mógł uniknąć czterech butów, a paker, jedną ręką wciąż trzymając się za nos, celował w głowę.

Sklepiarz później ocenił, że po jakichś dwudziestu lub więcej kopnięciach napadnięty przestał się poruszać. Długowłose pochylił się, rozpiął jego kurtkę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni.

Patel widział, jak wyciągnął portfel, trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym. Potem obaj napastnicy pobiegli do betonowego przejścia i znikli w labiryncie alejek na osiedlu. Nim odbiegli, ten gruby wyciągnął koszulę ze spodni i spróbował zatamować krew ciekącą z nosa.

Sklepiarz odprowadził ich wzrokiem, a potem podszedł do kasy, gdzie trzymał telefon. Wykręcił 999 i podał telefonistce nazwisko i adres, ponieważ twierdziła, że bez

tych danych nie może przyjąć wezwania. Po dopełnieniu formalności Patel poprosił o przysłanie policji i pogotowia, po czym wrócił do okna.

Mężczyzna leżał nieruchomo na chodniku. Nikt się nim nie zajął. To nie była ulica, na której przechodnie skłonni są wdawać się w takie historie. Patel mógłby podejść do niego i zrobić, co leżało w jego możliwościach, ale nie znał się na pierwszej pomocy, bał się go poruszyć i popełnić błąd, a także lękał się o swój sklep, bo napastnicy mogli jeszcze wrócić. Dlatego czekał.

Po czterech minutach nadjechał radiowóz, który przypadkiem był o pół mili od miejsca napadu, na Upper High Road. Dwaj policjanci przyjęli wezwanie. Znali okolice i Paradise Way, bo wiosną brali udział w tłumieniu rozruchów rasowych na osiedlu.

Radiowóz zatrzymał się z piskiem opon. Syrena ucichła. Jeden z policjantów wyskoczył z wozu i podbiegł do mężczyzny leżącego bez ruchu na trotuarze. Drugi pozostał za kierownicą. Skontaktował się przez radio z pogotowiem, żeby sprawdzić, czy karetka już jedzie. Patel zauważył, że obaj policjanci spojrzeli na jego sklep — widocznie znali już adres informatora, który zadzwonił na 999. Żaden nie podszedł. To mogło poczekać. Zza rogu wyjechała karetka z migającymi światłami i wyjącą syreną. Na ulicy zgromadziło się sporo gapiów, lecz nikt się nie zbliżył. Policjanci spróbowali później znaleźć wśród nich świadków napadu, ale tylko marnowali czas. Mieszkańcy Maedowdene Grove bawili się, oglądając takie incydenty, ale nie pomagali gliniarzom.

Z karetki wysiedli dwaj doświadczeni sanitariusze. Obaj, podobnie jak policjanci, uważali, że reguły procedury są po to, żeby dokładnie ich przestrzegać.

— To wygląda na napad rabunkowy i pobicie — powiedział konstabl, klękając przy ofierze. — Chyba zdrowo oberwał.

Sanitariusze kiwnęli głowami i przystąpili do pracy. Nie było żadnego krwotoku, który musieliby tamować, dlatego najpierw zajęli się ustabilizowaniem karku. Jeśli ofiara wypadku lub pobicia ma uszkodzone kręgi szyjne, niewprawna pomoc może spowodować zgon. Dwaj sanitariusze zręcznie nałożyli mężczyźnie kołnierz usztywniający szyję.

Następnie, zgodnie z procedurą, umieścili go na desce, żeby całkowicie unieruchomić kark i kręgosłup. Wykonali to na chodniku i dopiero potem położyli rannego na noszach i przenieśli do karetki. Pracowali szybko i sprawnie. Już po pięciu minutach od zatrzymania się przy krawężniku byli gotowi do odjazdu.

— Muszę z wami pojechać — powiedział policjant klęczący na trotuarze. — Może coś zezna.

Zawodowcy ze służb ratowniczych dobrze wiedzą, co kto ma zrobić i dlaczego, dzięki czemu nie marnują czasu. Sanitariusz kiwnął głową. Karetka stanowiła jego terytorium i on tam rządził, ale policja miała również swoją robotę do zrobienia. Wiedział jednak, że nie ma najmniejszych szans na to, żeby ranny coś powiedział.

— Dobrze, tylko nie przeszkadzaj — mruknął. — To ciężki przypadek.

Policjant wszedł do karetki i zajął miejsce z przodu, tuż przy oddzielonej kabinie kierowcy. Jeden z sanitariuszy zatrzasnął tylne drzwiczki i pobiegł do szoferki, a drugi pochylił się nad rannym na noszach. Dwie sekundy później karetka pędziła już Paradise Way, mijając gapiów. Skreśliła w zapchaną High Road, ale słysząc ostre wycie syreny, inni kierowcy posłusznie zjeżdżali z drogi. Konstabl trzymał się poręczy i przyglądał się pracy zawodowca.

Drogi oddechowe, zawsze najpierw należy oczyścić drogi oddechowe. Krew i flegma w tchawicy mogą spowodować śmierć pacjenta niemal tak szybko jak celny pocisk. Sanitariusz odessał pompką nieco flegmy, tyle, ile mógł mieć

w gardle każdy palacz, natomiast krwi nie było. Pobity oddychał płytko, ale nie groziło mu uduszenie. Na wszelki wypadek sanitariusz założył mu maskę tlenową. Zauważył z niepokojem, że twarz rannego już spuchła; dobrze znał ten symptom.

Puls, regularny, ale zbyt szybki, co również sygnalizowało możliwość uszkodzenia mózgu. Stan mózgu można ocenić za pomocą skali przytomności, opracowanej w Glasgow. W tej skali człowiek zdrowy i w pełni przytomny ma piętnaście punktów. Sanitariusz szybko stwierdził, że ranny ma jedenaście punktów i jego stan się pogarsza. Trzy punkty to głęboka utrata przytomności, poniżej — stan bliski śmierci.

— Do Royal London — rzucił do kierowcy, przekrzykując wycie syreny. — Ratownictwo i neurologia.

Kierowca kiwnął głową. Przejechał przez skrzyżowanie na czerwonych światłach i skręcił w kierunku Whitechapel. Samochody osobowe i ciężarówki szybko zjeżdżały mu z drogi. Szpital Royal London na Whitechapel Road ma nowoczesny oddział neurologiczny. Wprawdzie stąd mieli bliżej do innego szpitala, jeśli jednak potrzebna była pomoc neurologa, to opłacało się poświęcić kilka minut na dojazd do Royal London.

Kierowca rozmawiał przez radio z dyspozytorem. Poinformował go, że jest w South Tottenham, ocenił czas potrzebny na dojazd do szpitala i poprosił o zaalarmowanie zespołu ratownictwa.

Sanitariusz miał rację. Jednym z możliwych objawów urazu głowy, zwłaszcza wskutek pobicia, jest szybko narastająca opuchlizna twarzy. Cała głowa szybko zmienia się w wielki, nierozpoznawalny maskaron. Twarz rannego zaczęła puchnąć, gdy jeszcze leżał na chodniku. Kiedy karetka dojechała do szpitala, jego głowa przypominała już piłkę futbolową. Sanitariusze otworzyli z trzaskiem drzwi, wyciągnęli nosze i przekazali pacjenta zespołowi z oddziału



ratownictwa, którym kierował Carl Bateman. W skład ekipy wchodziło jeszcze trzech lekarzy, anestezjolog, dwaj stażyści i trzy pielęgniarki.

Otoczyli nosze, unieśli rannego na desce, przenieśli na łóżko szpitalne na kółkach i odjechali.

— Odnieście mi deskę! — krzyknął sanitariusz z karetki, ale nikt go nie słuchał. Pomyślał, że przyjedzie po nią następnego dnia. Policjant wysiadł z samochodu.

— Dokąd mam iść? — spytał.

— Tam — pokazał mu drogę sanitariusz. — Tylko im nie przeszkadzaj.

Konstabl kiwnął posłusznie głową i wszedł do środka przez wahadłowe drzwi, wciąż licząc, że uda mu się porozmawiać z rannym. Zamiast tego trafił na przełożoną pielęgniarek.

— Niech pan tu siada — powiedziała. — Proszę nie przeszkadzać.

Pół godziny później na Paradise Way zrobił się ruch. Akcją kierował umundurowany inspektor z komisariatu policji na ulicy Dover, znanego tu jako „dołek”. Policjanci otoczyli miejsce napadu taśmą. Kilkunastu funkcjonariuszy badało okolice, koncentrując się na sklepach i mieszkaniach w najbliższych siedmiopiętrowych domach. Szczególnie usilnie starali się dowiedzieć czegoś od mieszkańców bloku po drugiej stronie ulicy, jeśli bowiem ktoś z nich w chwili napadu wyglądał przez okno, to z powodzeniem mógł wszystko zobaczyć. To jednak była syzyfowa praca. Reakcje okazały się różne — od autentycznych wyrazów ubolewania, przez tępe zaprzeczenia do werbalnej agresji. Mimo to policjanci cierpliwie pukali do kolejnych drzwi.

Kierujący akcją inspektor szybko zadzwonił do kolegi z wydziału kryminalnego, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że to robota dla detektywów. Nadinspektor Alan Parfitt wezwał do siebie detektywa, inspektora Jacka Burnsa, odrywając go od niedopitej, jakże cennej filiżanki herbaty w

kantynie, po czym rozkazał mu zająć się sprawą napadu rabunkowego na Paradise Way. Burns zaprotestował — miał sporo roboty z wypadkiem, którego sprawca zbiegł, i z serią kradzieży samochodów, a następnego dnia rano musiał się stawić w sądzie. Nic mu to nie pomogło.

— Brakuje ludzi — powiedział Parvitt.

— Sierpień, cholerny sierpień — mruknął z wściekłością Burns, wychodząc z gabinetu nadinspektora.

Burns przybył na miejsce napadu wraz ze swym partnerem, sierżantem Luke'em Skinnerem, prawie w tym samym czasie co ekipa techników z laboratorium kryminalistycznego. Praca techników nie jest miłą. Ubrani w grube kombinezony i rękawiczki pedantycznie przeszukują miejsce przestępstwa, starając się znaleźć jakieś ślady. Zwykle trudno ocenić na miejscu, czy dany przedmiot ma jakieś znaczenie, dlatego muszą zbierać wszystko, co wydaje się choćby minimalnie interesujące, żeby zbadać to później w laboratorium. To często brudna robota, wymagająca chodzenia na czworakach w różnych nieprzyjemnych miejscach. Osiedle Meadowdene Grove nie było przyjemnym miejscem.

— Nie ma portfela, Jack — powiedział mu umundurowany inspektor, który już rozmawiał z panem Patelem. — Jeden z napastników ma rozkrwawiony nos. Gdy uciekał, przyciskał koszulę do twarzy. Może znajdziecie ślady krwi na ziemi.

Burns kiwnął głową. Technicy przeszukiwali na kolanach śmierdzące alejki między betonowymi blokami, a mundurowi policjanci szukali świadków. Burns udał się do sklepu pana Veejaya Patela.

— Inspektor Burns — przedstawił się, pokazując legitymację służbową. — To sierżant Skinner. Jak rozumiem, to pan zadzwonił pod numer dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć?

Pan Patel zaskoczył Jacka Burnsa, który pochodził z Devon i pracował w Londynie od trzech lat, przez cały czas

na Dover. Przywykł do tego, że w jego stronach obywatele pomagali policji, gdy tylko mogli coś zrobić, dlatego przeniesienie do północno-wschodniego Londynu było dla niego szokiem. Pan Patel przypomniał mu, jak zachowują się ludzie w Devon. Naprawdę chciał pomóc. Mówił jasno, zwięźle i precyzyjnie. Sierżant Skinner spisał jego obszernie zeznania. Patel szczegółowo zrelacjonował wszystko, co widział, i dokładnie opisał napastników. Jack Burns poczuł do niego sympatię. Gdyby tak we wszystkich sprawach miał do czynienia z takimi świadkami jak Veejay Patel z Entebbe i Edmonton. Zapadał już zmierzch, gdy pan Patel podpisał ręcznie spisany protokół przesłuchania.

— Chciałbym prosić, żeby pan przyszedł do komisariatu i spojrzął na kilka zdjęć, proszę pana — powiedział na koniec Burns. — Być może rozpozna pan kogoś z tych dwóch. Zaoszczędzilibyśmy bardzo dużo czasu, gdybyśmy wiedzieli, kogo mamy szukać.

Patel bardzo go przeprosił.

— Jeśli pan pozwoli, wolałbym nie dzisiaj. Jestem sam w sklepie. Zamykam o dziesiątej. Natomiast jutro wraca mój brat. Wie pan, jest na urlopie. Sierpień. Rano będę mógł wyjść.

Burns się zastanowił. Sprawa w sądzie o dziesiątej trzydzieści. Formalne wezwanie. Będzie musiał to przekazać Skinnerowi.

— O jedenastej? Wie pan, gdzie jest komisariat na Dover? Proszę spytać o mnie w dyżurce.

— Rzadko spotyka się kogoś takiego jak on — powiedział Skinner, gdy przechodzili przez jezdnię do samochodu.

— Podoba mi się — odrzekł Burns. — Gdy dopadniemy tych sukinsynów, pewnie uda się nam ich posadzić.

Podczas jazdy do komisariatu inspektor Burns dowiedział się przez radio, że ranny został zabrany do szpitala Royal London, gdzie czuwał przy nim konstabl. Pięć minut później skontaktował się z policjantem w szpitalu.

— Proszę spakować wszystkie jego rzeczy, ubrania, zawartość kieszeni, wszystko, i przywieźć tutaj, na Dover — polecił młodemu policjantowi. — I oczywiście dokumenty. Wciąż nie wiemy, kim on jest. Gdy zbierzecie wszystko, zadzwonicie, to przyślemy kogoś, żeby was zastąpił.

Carla Batemana nie interesowało ani nazwisko, ani adres człowieka na łóżku na kółkach, ani też to, kto go tak załatwił. Do niego należało tylko utrzymanie go przy życiu. Z rampy zabrano rannego natychmiast do sali zabiegowej, gdzie zajęli się nim lekarze. Bateman nie miał wątpliwości, że mężczyzna odniósł wiele ran. Postępował zgodnie z jasnymi regułami: najpierw obrażenia zagrażające życiu, potem wszystko inne. Standardowa procedura składała się z czterech kroków.

Drogi oddechowe. Sanitariusz dobrze wykonał swoje zadanie. Wprawdzie oddech był nieco świszczący, ale drogi oddechowe zostały oczyszczone, a kark usztywniony.

Oddychanie. Ordynator kazał zdjąć rannemu marynarkę i koszulę, po czym starannie go osłuchał.

Mężczyzna miał połamane żebra, lecz to, podobnie jak zmiażdżone palce lewej ręki i wybite zęby, nie zagrażało życiu i nie wymagało natychmiastowej interwencji. Pacjent oddychał regularnie. Nie ma sensu rozpoczynać skomplikowanej operacji ortopedycznej, gdy nie wiadomo, czy pacjent za chwilę nie przestanie oddychać. Bateman był zaniepokojony przyspieszonym tętnem, powyżej stu uderzeń na minutę — norma to poniżej osiemdziesięciu.

Krążenie krwi. Już po kilkunastu sekundach mężczyzna miał wprowadzone do żył obu ramion igły kroplówek i pobraną krew do analizy. Gdy Bateman kontynuował badania, do krwiobiegu rannego spływał roztwór krystaloidowy.

Obrażenia. To nie wyglądało dobrze. Patrząc na twarz i głowę rannego, trudno było rozpoznać ludzkie rysy, a w skali z Glasgow miał już tylko sześć punktów. Z pewnością doznał poważnych obrażeń mózgu. Carl Bateman nie po raz pierwszy

dziękował w duchu nieznanemu sanitariuszowi, który poświęcił kilka dodatkowych minut na przywiezienie rannego do szpitala Royal London, na oddział neurologiczny.

Ordynator zadzwonił do pracowni tomograficznej, żeby uprzedzić, że za pięć minut przywiezie tam pacjenta. Potem zadzwonił do kolegi, głównego neurochirurga Paula Willisa.

— Paul, mam tu chyba poważny krwiak wewnątrzczaszkowy. Glasgow wynosi pięć i wciąż spada.

— Przywieź go do mnie, jak tylko dostaniesz wyniki tomografii.

W chwili napadu mężczyzna miał na sobie skarpetki, buty, majtki, koszulę z rozpiętym kołnierzem, spodnie podtrzymywane paskiem, marynarkę i kurtkę przeciwdeszczową. Wszystko poniżej pasa udało się zdjąć bez żadnego problemu, natomiast kurtkę, marynarkę i koszulę trzeba było przeciąć, żeby podczas zdejmowania nie wstrząsnąć głową rannego. Nie wyjmując niczego z kieszeni, pielęgniarka włożyła jego ubranie do torby i oddała zachwyconemu konstablowi, czekającemu na korytarzu. Gdy niedługo potem przybył jego zmiennik, policjant zawiózł zdobycz do komisariatu na Dover, gdzie niecierpliwie czekał inspektor Jack Burns.

Tomografia potwierdziła najgorsze obawy Batemana. Pobity miał krwotok spowodowany urazem głowy. Kwiak wewnątrzczaszkowy mógl wkrótce spowodować śmierć lub nieodwracalne uszkodzenia.

O ósmej piętnaście mężczyzna znalazł się na sali operacyjnej. Doktor Willis, korzystając z wyników tomografii komputerowej, które dokładnie wskazywały miejsce krwotoku, dotarł do krwiaka, wykonując jedno cięcie. Najpierw wywiercił w czaszce trzy niewielkie otwory, potem je połączył, przecinając kość piłą. To była standardowa technika operacyjna.

Po wycięciu trójkątnej kawałka kości Willis odessał krew

i podwiązał uszkodzone arterie. Po usunięciu krwiaka ciśnienie w czaszce zmalało, mózg ponownie się rozszerzył, wypełniając przestrzeń, jaką przewidziała dla niego natura.

Wycięty trójkąt został wstawiony na miejsce i pokryty naciągniętym płatem skóry. Mocny opatrunek miał utrzymać skórę i kość na miejscu, aż do zrośnięcia się tkanek. Mimo zniszczeń doktor Willis miał nadzieję, że interwencja nastąpiła w porę.

Organizm ludzki to dziwne urządzenie. Człowiek może umrzeć wskutek ukąszenia osy i wrócić do zdrowia po odniesieniu ciężkich obrażeń. Po usunięciu krwiaka wewnątrzczaszkowego pacjenci niekiedy w ciągu kilku dni odzyskują przytomność i sprawność umysłową. Nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie w tym przypadku. Coś więcej można będzie powiedzieć nie wcześniej niż po dwudziestu czterech godzinach, gdy miną skutki znieczulenia ogólnego. Gdyby drugiego dnia nie nastąpiła poprawa, byłby to powód do niepokoju. Doktor Willis umył się, przebrał i pojechał do domu w St John's Wood.

— Niech to diabli wezmą! — rzucił Jack Burns, patrząc na ubrania i rzeczy osobiste ofiary napadu. W kieszeniach spodni znaleziono napoczętą paczkę papierosów, pudełko zapalek, trochę drobnych, brudną chusteczkę i klucz na tasiemce, najwyraźniej do drzwi mieszkania. W marynarce nie było niczego. Jeśli ten mężczyzna nosił jakieś dokumenty, to najwyraźniej trzymał je w portfelu.

— Porządniki gość — powiedział sierżant Skinner, który zbadał ubranie. — Buty tanie i zelowane, ale zapastowane. Spodnie też tanie i znoszone, ale wyprasowane na kant. Koszula z wytartymi mankietami i kołnierzem, ale również wyprasowana. Facet nie ma pieniędzy, lecz dba o swój wygląd.

— Wolalbym, żeby w tylnej kieszeni spodni nosił kartę kredytową lub list zaadresowany do niego — odpowiedział inspektor, wciąż wypełniając niezliczone formularze, co jest

jednym z głównych zajęć współczesnych policjantów. — Tymczasem muszę go zarejestrować jako UAM.

W Stanach Zjednoczonych takich ludzi nazywa się John Doe. Londyńska policja używa skrótu UAM — Unidentified Adult Man (Niezidentyfikowany Dorosły Mężczyzna). Gdy dwaj detektywi schowali papiery w szafie pancерnej i uznali, że pora na kufel piwa, na zewnątrz było jeszcze ciepło, ale już zupełnie ciemno.

O milę od komisariatu porządnicki mężczyzna leżał na oddziale intensywnej opieki medycznej w szpitalu Royal London. Oddychał płytko, ale regularnie. Wciąż miał przyspieszone tętno. Od czasu do czasu do jego łóżka podchodziła dyżurna pielęgniarka, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie.

Jack Burns wypił potężny łyk piwa.

— Do diabła, kto to jest? — pożałił się, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego.

— Proszę się nie martwić, szefie, już wkrótce się dowiemy — powiedział Luke Skinner.

Mylił się.

## *Dzień drugi — środa*

To był dla inspektora Jacka Burnsa ciężki dzień. Przyniósł mu dwa sukcesy, dwa rozczarowania i liczne pytania bez odpowiedzi. Niezły wynik. W praktyce detektywa rzadko się zdarza, żeby sprawa wyglądała jak prezent na Boże Narodzenie, dostarczony prosto na jego biurko.

Pierwszy sukces zawdzięczał inspektor panu Patelowi. Sklepikarz pojawił się w dyżurce punktualnie o jedenastej. Jak zawsze, bardzo chciał pomóc policji.

— Chciałbym, żeby pan spojrział na kilka zdjęć — powiedział Burns, gdy usiedli przed ekranem monitora. W

dawnych czasach zdjęcia z kartoteki policyjnej przechowywano w dużym albumie, a nawet w kilku, w plastikowych koszulkach. Burns wolał tradycyjną metodę, ponieważ świadkowie mogli przewracać strony albumu w tę i z powrotem, aż wreszcie dokonywali wyboru. Teraz cały proces skomputeryzowano i twarze pojawiały się na ekranie.

Rozpoczęli od pakietu stu zdjęć, zawierającego „najcięższe przypadki” znane policji z północno-wschodniej części Londynu. To bynajmniej nie była pełna lista, ale Burns wybrał osoby dobrze znane w komisariacie na Dover. Veejay Patel okazał się świadkiem, o jakim może marzyć każdy detektyw.

— To ten — powiedział, gdy na ekranie pojawiło się zdjęcie numer dwadzieścia osiem.

Mieli przed sobą twarz, na której malowała się tępota połączona ze złością. Napakowany, ogolona czaszka, kolczyk w uchu.

— Jest pan pewny? Nigdy nie widział go pan wcześniej? Może był u pana w sklepie?

— Nie, to na pewno jeden z nich. To ten, który dostał pięścią w nos.

Pod zdjęciem widniało imię i nazwisko: Mark Price, i numer identyfikacyjny. Na zdjęciu numer siedemdziesiąt siedem Patel rozpoznał drugiego bandytę, tego z długą, ziemistą twarzą i tłustymi włosami opadającymi niemal na ramiona. Harry Cornish. Patel nie miał żadnych wątpliwości, a patrząc na inne zdjęcia, nie zastanawiał się dłużej niż jedną lub dwie sekundy. Burns wyłączył monitor. Pozostało ściągnąć z komputera w archiwum teczki obu napastników.

— Gdy ich znajdziemy i aresztujemy, będę musiał poprosić pana o udział w identyfikacji — powiedział Burns. Sklepikarz przytaknął. Gotów był przyjść ponownie. Gdy wyszedł, Luke Skinner pokręcił głową.

— Szefie, przydałoby się więcej takich — zauważył.



Czekając na informacje z archiwum, Jack Burns wszedł do kolegi pracującego w sąsiednim pokoju. Człowiek, którego potrzebował, siedział przy biurku i wypełniał formularze.

— Charlie, można na chwilkę?

Charlie Coulter miał kilka lat więcej od Burnsa, ale wciąż był sierżantem. Pracował tu już od piętnastu lat i znał wszystkich miejscowych łajdaków.

— Ci dwaj? — prychnął. — Prawdziwe zwierzaki, Jack. Mamy na ich temat całe wory. Nie są stąd, sprowadzili się trzy lata temu. Z reguły drobne, głupie przestępstwa. Wyrwanie torebek, rozbój uliczny, kradzieże w sklepach, awantury, chuligaństwo stadionowe. Plus pobicia. Obaj siedzieli. Dlaczego pytasz?

— Tym razem ciężkie pobicie — odpowiedział Burns. — Wczoraj skopali starszego mężczyznę do nieprzytomności. Masz ich adres?

— Nie tak od ręki — odpowiedział Coulter. — Gdy ostatni raz o nich słyszałem, mieszkali z paroma innymi w zajętym na dziko mieszkaniu gdzieś w okolicy High Road.

— Nie w Grove?

— Nie sądzę. To normalnie nie ich rewir. Widocznie przyszli z wizytą, przypadkowo.

— Należą do jakiegoś gangu?

— Nie. Samotnicy. Trzymają się razem.

— Geje?

— Brak danych na ten temat. Prawdopodobnie nie. Cornish był oskarżony o czyn lubieżny w stosunku do kobiety. Sprawa została zamknięta, bo kobieta się rozmyśliła. Prawdopodobnie nastraszył ją Price.

— Narkomani?

— Nie słyszałem. Raczej pijacy. Ich specjalnością są awantury w barach.

W tym momencie zadzwonił telefon Coultera i Burns zostawił go samego. W pokoju czekały już na niego materiały

z archiwum, zawierające adres poszukiwanych. Burns poszedł do nadinspektora Alana Parfitta, który wyraził zgodę na zaplanowaną przez niego akcję. O drugiej po południu sędzia podpisał nakaz przeprowadzenia rewizji we wskazanych pomieszczeniach. Dwaj policjanci pobrali broń ze zbrojowni. Burns, Skinner i jeszcze sześciu funkcjonariuszy, w tym jeden z łomem, utworzyli wraz z nimi dziesięcioosobową ekipę.

Rewizja odbyła się o trzeciej. Price i Cornish mieszkali w starej ruderze, która miała być wyburzona, gdy deweloper wykupi już cały okoliczny teren. Tymczasem właściciel zabił okna deskami i odciął media.

Łuszczące się drzwi wytrzymały jedno formalne puknięcie palcem, ale wystarczyło jedno uderzenie łomem, żeby rozbić zamek. Wbiegli po schodach. Dwaj bandyci mieszkali na pierwszym piętrze; zajmowali dwa pokoje, które nigdy nie były piękne, ale teraz stanowiły obraz zupełnego upadku. W mieszkaniu nie było nikogo. Dwaj uzbrojeni policjanci schowali broń i rozpoczęła się rewizja.

Policjanci szukali czegokolwiek i wszystkiego. Portfela, jego zawartości, ubrania, butów... Nie przykładali większej wagi do dbałości o porządek. Jeśli przed ich przybyciem mieszkanie wyglądało jak brudna kwatera dzikich lokatorów, to po ich wyjściu na pewno nie przypominało słodkiego kącika. Znaleźli jednak tylko jeden interesujący przedmiot. Za starą, wysiedzianą sofą leżała zwinięta mocno zabrudzona krwią koszulka z krótkimi rękawami. Została pieczołowicie włożona do torby i oznakowana. To samo zrobiono ze wszystkimi innymi ubraniami. Gdyby technikom w laboratorium udało się znaleźć na nich włókna z ubrania uszkodzonego, byłby to niepodważalny dowód, że mieli kontakt fizyczny z kulejącym mężczyzną.

Burns i Skinner zostawili policjantom przeprowadzenie rewizji, a sami postanowili rozejrzeć się po okolicy. Większość